

TRZY LISTY  
KAZIMIERZA TRUCHANOWSKIEGO

STANISŁAW BURKOT\*

Na początku 1978 roku ogłosiłem w „Miesięczniku Literackim” (nr 3, s. 122–124) recenzję tomu opowiadań *Całowanie ziemi* Kazimierza Truchanowskiego. Otrzymałem od autora najpierw *Dzwony piekiel* z dedykacją, a następnie – w odpowiedzi na moje podziękowanie – obszerniejszy list z 10 kwietnia 1978 roku, w którym mówił o swoich planach pisarskich, o pracy nad trylogią: pierwszym ogniwem było *Piekło nie zna snu*, trzecim – *Zatrzaśnięcie bram*, drugim ukończony „na brudno” *Ostatni krag*. Wspomniał także o aresztowaniu w 1923 roku w Kijowie, o posądzeniu o szpiegostwo na rzecz Polski, o torturach „fizycznych i psychicznych”, o wyroku śmierci, który „tylko cudem nie został wykonany”.

Mój kolejny list był w pewnym stopniu świadomą prowokacją: przypomniałem pisarzowi wczesne jego opowiadanie *Spuścizna* („Echa Leśne” 1932, nr 8), chyba jeszcze wcześniejszy odnaleziony jakiś fragment, opublikowany w czasopiśmie (trylogię *Zatrute studnie* pisał od 1927 roku), i stwierdziłem, że w tych juveniliach jest wyraźny dukt własny stylu i sposobu budowania świata przedstawionego. To skłoniło pisarza do przysłania kolejnego listu, datowanego na 14 maja 1978 roku, w którym dziękował za przekazaną mu pracę magisterską o jego twórczości i przy okazji niejako mówił o literackich pasjach w okresie szkolnym, także enigmatycznie o sprawie: Schulz – Truchanowski. Nie udało mi się rozmawiać bezpośrednio z pisarzem. Ostatnią wiadomością od niego była kartka z życzeniami świątecznymi z 22 grudnia 1978 roku.

Stanisław Burkot

\*

Warszawa, dn. 14 maja 1978 r.

Szanowny Panie Docencie,

najuprzejmiej dziękuję Panu za nadesłaną mi do wglądu pracę, o którą prosiłem pana, nie tyle ze względu na próżną ciekawość, ile z powodu zainteresowania młodymi naukowcami, którzy wchodzą w życie. Młodzi zawsze mnie interesowali i interesują z uwagi na naszą przyszłość, na rozwój Narodu i jego kulturę.

---

\* Stanisław Burkot – emeryt. prof. zw. Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

Jeżeli o mnie chodzi, to ja chyba wiem trochę więcej co we mnie piszczy i dlatego nie jestem siebie ciekawy, jak wygląda w cudzych oczach – zawsze staram się pozostawiać każdemu człowiekowi prawo do własnego sądu, gdyż to samo chcę zachować również dla siebie. Bardzo mocno, z całą zajadłością, broniłem się tylko jeden raz w życiu. Reszta się nie liczy.

Pracę na razie przejrzałem tylko pobieżnie, gdyż na razie nie mam na nic czasu, i nawet nie mam od kogo jego trochę pożyczyć. Zobowiązania i terminy gonią się wzajemnie i z niczym nie mogę nadażyć. A chciałbym wykonać to, co zaprojektowałem. Niekiedy jestem tak zmęczony, że zdania nie potrafię skleić.

W naszym sfrustrowanym świecie (nie lubię tego określenia) najmniejszy objaw zyczliwości wysoko cenię. Przy tej sposobności pragnę jeszcze raz podziękować Panu za okazaną mi zyczliwość. Dostrzegli ją nawet ludzie niezainteresowani. Młody doktorant U.W., który pisze pracę doktorską na temat mojej twórczości (znowu i tego nie lubię) napisał do mnie: „Sukcesywnie przeglądam «Miesięcznik», toteż z prawdziwą przyjemnością czytałem recenzję pióra Pana Burkota z «Całowania Ziemi», nacechowaną piękną «szarżą» stylistyczną”. Rzeczywiście, tak pięknej recenzji jeszcze nie miałem.

Przeglądając pobieżnie pracę p. Heleny Czerwonki, robił tu i ówdzie pewne uwagi, ale tylko tyle i raczej dla siebie. Gdybym nie uciekał się do symboli i kamuflażu, musiałbym nieustannie podawać fakty i wydarzenia, jakie miały miejsce w moim życiu, a to jest niemożliwe; świat tworzy pewne fakty i sytuacje, o których w dzisiejszych czasach lepiej milczeć. Gdyby się je podawało, podlegałoby się oskarżeniu, a nawet doraźnie wymierzonej karze. Nie należę do tchórzliwych i nigdy nie należałem, ale dość już miałem ciężkich doświadczeń. Przecież za napisanie „Zmowy demiurgów” skazano mnie na milczenie – 10 lat! Teraz korzystam z pewnego rodzaju taryfy ulgowej. Trochę mnie to męczy, ale pogodziłem się z tym.

Odczytywanie oskarżenia (nie pamiętam w którym to było tomie. Działo się to w straszliwie mieszczańskim pokoju) miało miejsce w rzeczywistości. Gdybym napisał to w sposób realistyczny (o ile bym potrafił to zrobić), byłoby to nudne aż do ćmienia zębów. Wszystko w moich książkach, a szczególnie w „Młynach” ma pokrycie w faktach rzeczywistych. Gdybym potrafił opisywać wydarzenia tak jak one wyglądały, byłyby w nich tylko sieczka. Jednoznaczność odarłaby je ze znaczenia i wyrazu, a ubóstwo ich doprowadziłoby do tego, że tylko splunąć.

Ja od najwcześniejszych lat mego życia miałem tylko kłopoty – i w Domu, i w szkole, i poza szkołą. Matka ze mną miała kłopoty, ja miałem z Matką. Kiedy coś jej relacjonowałem (Robiłem to zawsze z przejęciem i uszy miałem mocno zaczerwienione), Matka, patrząc na mnie uważnie i obawiając się o moje zdrowie psychiczne, przywoływała mnie do porządku i z największą troską żądała, abym mówił prawdę. „Nie należy przesadzać. Tylko prawda ma wartość”. A to przecież była najprawdziwsza prawda. Tylko Ojciec mnie rozumiał, chociaż i On miał troskę w oczach.

A w szkole:

Przy moich wypracowaniach domowych profesor mówi: „Truchanowski, to, czo wy napisali, daże intieresnoje, no nie sowmiestimo s diejstwitielnostju”. (Truchanowski, to, co napisałeś, jest nawet ciekawe, ale nie mieści się w rzeczywistości”). I odczytywał moje wypracowanie, podczas gdy klasa zarykiwała się śmiechem. I rzeczywiście, było z czego się zarykiwać. Bo jak mogło mieścić się w rzeczywistości to, że prof. Modraczek (rzeczywiste przezwisko brzmiało „Molekuła”, lecz że tego nie lubił, nazwałem go „Modraczkiem”) wchodząc do klasy w futrze i kaloszach, odbijał się piętami od podłogi i unosił się pod wysoki sufit. Potem opadał na parapet okienny, brzęcząc i bucząc tam, jak gniewny, rozszluszczony trzmiel. Czytanie kończyło się następująco: „Wypracowanie jest napisane dobrze, lecz dobrej noty dać nie mogę. Złej noty też nie dam, więc daję ci zero (nul)”. Koledzy potem w czasie zabawy wołali na mnie: „Hej, ty, zerowiec!... Czy teraz nie dzieje się podobnie? Z tym tylko, że nawet zera mi nie dają. Tak jest wygodniej. Bo a nuż się wygłupimy? I takie wygłupienie przylgnie do nas na zawsze. Lepiej jest milczeć.

A sprawa Schulz – Truchanowski:

Schulz pisał „Sanatorium pod klepsydrą”; ja – „Aptekę pod Słońcem”. Po tem skonfrontowaliśmy nasze maszynopisy i trzeba było iść na wzajemne ustępstwa. Schulz bardzo bolał nad naszym podobieństwem, mówiąc: „Jestem o 12 lat starszy od pana. Pan będzie się rozwijał, ja się kończę”. Wtedy, gdy konfrontowaliśmy nasze utwory, stało się coś niezwykłego, ale o tym nie będę pisać. Mógłbym być posądzony co najmniej o zmyślenie, a Schulz nie żyje. Może kiedyś przy jakiejś okazji opowiem to Panu osobiście.

Jeżeli chodzi o Kafkę, to zupełnie szczerze przyznaję się do tego, że mimo iż wysoko go cenię, jestem w stosunku do niego w opozycji. Kafka męczył się świadomością, iż był skazany na śmierć, jak wszyscy jesteśmy skazani; ja byłem skazany „poza etatem”. Przez trzy tygodnie czekałem na wykonanie wyroku. Pozostało z tego doświadczenie, które pozostawiło we mnie trwałą ślad i obrzydzenie. U Kafki „Proces”, u mnie – Młyny boże”...

Proszę darować, że tak się rozpisałem. Czasem trzeba odwalić kamień z serca.

Bardzo bym chciał z Panem się spotkać. Myślę, że mielibyśmy dużo sobie do powiedzenia. Pan bardzo mnie zaciekawia.

A tymczasem, zanim to nastąpi, proszę przyjąć wyrazy mego głębokiego szacunku

Kazimierz Truchanowski

P.S. Proszę pozwolić, że nadesłaną pracę zwrócę trochę później.

Głęboko przeżywam zbrodnię dokonaną na Aldo Moro. Świat jest coraz potworniejszy.